

Dwaj lotnicy

1 czerwca 1925 roku był na czyżyńskim lotnisku dniem feralnym, samolot „Potez XVa” pilotowany przez porucznika pilota Michała Pielechowskiego, w którym dodatkowo znajdował się drugi pilot, przy lądowaniu nagle wpadł w korkociąg i runął na ziemię, ogonem do góry. Obaj piloci (...) zginęli. (...) Katastrofa nastąpiła w wyniku braku paliwa.

Odtąd obaj piloci zaczęli krążyć po lotnisku jako duchy. Widywano ich zawsze razem. Czasami oglądali samoloty w hangarze, niekiedy spacerowali po pasie startowym, czasem nawet spotykano ich w kasynie pułkowym. (...) Wkrótce oswojono się na lotnisku z krążącymi duchami. Zresztą, jak się potem okazało, były to widma życzliwe. (...) Obaj lotnicy nie wyzbyli się poczucia pułkowej solidarności i lojalności wobec kolegów. Podobno ostrzegali ich nawet przed grożącymi im niebezpieczeństwami. (...) Mechanik pułku (...) lotniczego opowiadał o swojej przygodzie na lotnisku w Czyżynach.

Był wieczór. Pilot był już w kabinie, gdy wtem w świetle reflektorów ujrzał dwie postacie stojące na pasie startowym i wymachujące rękami. Samolot już-już ruszał z miejsca, tocząc się po pasie i nabierając z wolna szybkości. Ale postacie cofały się, równomiernie z posuwaniem maszyny i nadal wymachiwały rękami. Zdenerwowany pilot zgasił silnik i wyszedł z kabiny. - „Kto się szwenda po pasie startowym!” - krzyknął (...) do mechaników. Obecni zdziwili się, twierdząc, że pas startowy był przez cały czas pusty. Niepokój udzielił się wszystkim. Mechanicy rzucili się do samolotu, aby jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Okazało się, że wykryli poważny defekt w silniku, którego przedtem jakoś nie zauważyli. Gdyby lotnik wystartował, zapewne wkrótce runąłby na ziemię (...). Pilot podziękował niebu za ocalenie, a jednocześnie był przekonany, że to duchy ostrzegły go przed katastrofą i ocaliły mu życie.

Tatarski Ikar

Osiedle Wolica leży tuż nad Wisłą, po drugiej stronie mając za sąsiada Niepołomice. Nad samym brzegiem znajduje się lasek, zwany Ochodzą. Obok biegnie rów stanowiący resztki kanału, który miał się ciągnąć kiedyś aż do pałacu w Kościelnikach (...). Miejsce to przecinały cztery szerokie, dzikie aleje, na skrzyżowaniu których stały ruiny budowli.

Miał to być zameczek myśliwski (...) zbudowany przez króla Kazimierza Wielkiego dla córki (...), właścicielki Kościelnik i stąd zwanej panią Kościelnicką. 250 niewolników tatarskich pracowało przy budowie tego zamku. Wśród nich, znajdował się książę tatarski Selim-Mirza pojmany w niewolę, w czasie najazdu na ziemię polskie, przez rycerzy Kazimierza Wielkiego. Na równi z innymi niewolnikami pracował przy budowie zamku marząc o ucieczce. Ale nie nadarzała się żadna okazja. Pachołkowie królewscy dobrze pilnowali jeńców. Selim wzdychał przeto i prosił ptaki gęsto unoszące się nad budowlą: „Pożyczcie mi skrzydeł!”.

Aliści pewnego razu wpadł na pomysł. Nosząc kamienie znad rzeki, ujrzał mnóstwo piór, które zostawiły owe ptaki często wysiadujące na wiślanej plaży. Postanowił zbierać pióra i sklecić z nich skrzydła. W swój plan wtajemniczył trzech ziomków zamieszkujących z nim jedną z lepianek stojących opodal budującego się zamku. Tatarzy z entuzjazmem przyjęli pomysł księcia. I oni tęsknili do stepów, w których się urodzili i wychowali. (...)

Codziennie pod pozorem noszenia kamieni z rzeki zbierali ptasie pióra i kleili z nich nocami skrzydła. Praca ta trwała miesiącami. Czwórka Tatarów musiała uważać, aby nie wzbudzić podejrzeń strażników. Ale z dnia na dzień przybywało piór, i skrzydła przybierały postać realną. Wreszcie praca została zakończona. Cztery pary skrzydeł ukryte pod posłaniami czekały na stosowną chwilę.

Pewnego ranka Tatarzy zbudzili się wcześniej, jeszcze zanim strażnicy zarządzili pobudkę.

Umocowali skrzydła u ramion i gdy strażnik otworzył drzwi od lepianki, wyskoczyli czym prędzej i wzbili się w powietrze przed oczami zdumionego pachołka.

I poszybowali nad Wisłą królewskim traktem na wschód zegnając resztę swoich ziomków wymachujących rękami na ich cześć.

- „Ot sokół nasz Mirza” – mówili Tatarzy z uznaniem kiwając głowami. „Wymknął się Lachom, już nikt go nie dogoni. Niechaj Allah mu poszczęści. Może wróci tutaj z pomocą i wyswobodzi nas?”

Ale strażnicy królewscy szybko ochłonęli ze zdumienia, i puścili się za skrzydlatymi Tatarami w pogoń na koniach, strzelając do nich z łuków. Strzała ugodziła w skrzydło jednego z Tatarów (...). Pozbawiony skrzydła Tatarzyn zaczął opadać na ziemię. Dostrzegł to Selim, poszybował ku niemu i złapał go za rękę. Obciążenie było jednak duże i obaj Tatarzy spadli na ziemię. (...) Natomiast dwóch pozostałych Tatarów zdołało uciec na skrzydłach do swojej ojczyzny.

Tak zakończyła się przygoda tatarskiego Ikara Selima-Mirzy. Miejsce jego upadku znajduje się koło Wiśnicza i zostało upamiętnione postawieniem kapliczki.

Księżę czyżyków

Przed wieloma laty pojawił się w tamtych stronach mąż ubrany w zielonkawy kaftan i żółte spodnie, a na głowie miał spiczastą czapę. Uzbrojony był w łuk, szablę i tarczę, a na ubiór narzuconą miał kolczugę. Jechał na małym kosmatym koniku. Ludzie bali się go przyjąć pod swój dach i dopiero stara wiedźma, mieszkająca w głębi lasu w chatce udzieliła mu gościny. A czas był najwyższy, bo cudzoziemiec zachorował ciężko. Złożony niemocą leżał całymi dniami na barłogu i jakby czegoś wypatrywał przez małe okienko chaty.

Różnie mówiono o nim we wsi. Ze skąpych słów wiedźmy, którą ludzie spotykali w lesie, przy zbieraniu ziół, wynikało, iż nieznajomy przyjechał ze wschodu, gdzie władał małym ale bitnym plemieniem. Wojny przetrzebiły jego lud, a reszta poszła w niewolę do obcego księcia, który nie mogąc podbić ich orężnie, użył wobec nich czarów. Jemu samemu udało się uciec. Był ostatnim wolnym człowiekiem swojego plemienia...

Pewnego razu ludzie pracujący w polu usłyszeli przedziwny ptasi śpiew, jakiego jeszcze dotąd nie znali. Zaintrygowani pobiegli jego śladem. Ujrzeni ogromne stado ptaków, noszących identyczne barwy jak nieznajomy księżę, świergocących coś zawzięcie, a wśród nich samego księcia karmiącego je z ręki...

Od tej pory ich śpiew rozlegał się po całej okolicy. Wieczorami ludzie zbierali się i wsłuchiwali w delikatne, dźwięczne i czyste głosy czyżyków, które dolatywały z lasu. Z biegiem czasu przyzwyczajono się do nich, tak że nawet przyjezdni zaczęli miejscowość tę nazywać Czyżyny.

Pewnego razu zauważono w chacie wiedźmy nowego lokatora: dziewczę z długimi, czarnymi włosami (...). Często przesiadywała na progu chaty wraz z nieznajomym księciem, który od tamtego momentu wyzdrowiał, przysłuchując się śpiewom ptaków. Mówiono, że czyżyki przywiodły ją swym śpiewem do chaty księcia, a ten pojął ją za żonę.

Aliści któregoś dnia ludzie we wsi zbudzili się z dziwnym uczuciem. Panowała cisza, nie było słyhać śpiewu ptaków. Zaniepokojeni udali się (...) pod chatę wiedźmy. Czyżyków nie zastali. Nie było nigdzie widać księcia ani jego żony.

Po chwili z lasu przydreptała wiedźma, niosąc zerwane zioła. Ludzie zaczęli ją zasypywać pytaniami. Gdzie czyże, gdzie księżę, gdzie jego małżonka? - „Ano, odjechali - odparła (...) wiedźma. - To nie były zwyczajne ptaki, lecz ludzie z plemienia naszego księcia. Gdy uciekali z niewoli, księżę-czarownik, który ich więził, nie mógł ich dogonić, więc ich zczarował w ptaki. Ale każdy czar musi prysnąć, gdy działa na niego silniejsza moc. A tą silniejszą mocą była miłość dziewczyny o czarnych włosach, która pokochała naszego księcia i urodziła mu syna. Nowonarodzony odczarował czyżyki. Wróciły do ludzkiej postaci. A teraz idą z powrotem, aby odzyskać swoją ziemię, którą wydarł im zdradziecki księżę-czarownik”.

W tym samym czasie traktem wiodącym na wschód podążał zbrojny hufiec rycerzy w zielonych kaftanach, żółtych spodniach, spiczastych czapkach. Na czele jechał księżę z małżonką, która trzymała na rękach niemowlę. A potem o tych rycerzach wszelki słuch zaginął.